

Bronisław Wildstein

O KULTURZE
I REWOLUCJI

O ekspertach i demagogii

Lament, który opiniotwórcze środowiska III Rzeczypospolitej podniosły po referendum brytyjskim, uderza swoją bezrefleksyjnością, ale równocześnie odsłania schematy, na jakich oparte są ich poglądy. Żeby nie ułatwiać sobie zadania, spróbuję zanalizować je na przykładzie jednego z inteligentniejszych rzeczników polskiego, a więc i europejskiego *status quo*, byłego szefa Ministerstwa Spraw Wewnętrznych, Bartłomieja Sienkiewicza. Oto fragment jego felietonu po Brexicie: „populizm i demagogia kładące kres panowaniu dotychczasowych elit politycznych i sterowności całego systemu; nieufność do jakiejkolwiek wiedzy pochodzącej z kręgów eksperckich i równoczesna wiara w najbardziej dzikie kłamstwa i szalone recepty; pogarda dla dotychczasowych instytucji i chęć stworzenia Nowego Świata, wolnego od zgniłego establishmentu. A to wszystko podszyte strachem przed imigrantami, przed utratą dochodów i dotychczasowej pozycji społecznej”.

„Kres panowania dotychczasowych elit politycznych” oznacza dla autora załamanie się „sterowności całego systemu”. Czyli po prostu kataklizm i chaos. Nic dziwnego, że w takim stanie rzeczy jedynym uzasadnieniem krytyki panowania „dotychczasowych elit” musi być „populizm i demagogia”.

Znamienne, że panowanie owych elit Sienkiewicz kojarzy z „wiedzą pochodzącą z kręgów eksperckich”. Nieufność do niej to „wiara w najbardziej dzikie kłamstwa i szalone recepty”. A kwestionowanie obecnego *status quo*, które, jak wynika z tekstu Sienkiewicza, musi wyrastać z irracjonalnych lęków, to wiara w utopię.

Bądźmy uczciwi. Kontestatorzy przyciągają zawsze ludzi wierzących w utopijne rozwiązania i wyznający autentyczne, a nie tylko wmawiane im, teorie spiskowe. Pojawiają się wśród nich politycy i przywódcy posługujący się populizmem oraz demagogią. Czy dominują oni jednak wśród tych, którzy wskazują niebezpieczeństwa, jakie wiążą się

z obecnym funkcjonowaniem Unii Europejskiej? I czy więcej populizmu nie odnajdujemy pośród euroentuzjastów, którzy na kolejne problemy wywołane odgórnym narzucaniem projektu integracji odpowiadają, że jedyną receptą na nie jest więcej tego samego? Czy nie jest demagogią i nadużyciem intelektualnym częste wśród rzeczników federacji stwierdzenie, że skoro od 70 lat nie było wojny w środkowo-zachodniej Europie, to zawdzięczamy to wyłącznie wspólnotowej integracji? Czy nie jest specyficznym, ideologicznym i środowiskowym populizmem zakaz mówienia o problemach, jakie musi pociągać za sobą przyjęcie dużych grup kulturowo odmiennych imigrantów?

A co prawi nam Sienkiewicz? Okazuje się, że obecne *status quo*, ufundowane na „eksperckiej wiedzy” jest historycznym optimum, gdyż jego naruszenie prowadzić będzie do katastrofy. Odsunięcie od władzy obecnych elit ma być tragedią. Czy takie ujęcie rzeczywistości nie jest przejawem „dzikiej demagogii”?

Trzeba przyznać rację Sienkiewiczowi. Obecne elity władzy sprzęgnięte są z dominującymi w Europie „kręgami eksperckimi”. Fakt, że te ostatnie nie były w stanie przewidzieć niebezpieczeństw wskazywanych przez tych, którym odmawiano kompetencji, daje do myślenia. To, że eksperci ci stanowią element rządzących elit, wyjaśnia sprawę. Sam Sienkiewicz jest tego doskonałym przykładem. Bezinteresowny ekspert powołany do rządu Tuska teraz znowu wrócił do roli niezależnego mędrca. I tak nie pełni tych funkcji równocześnie jak swojego czasu Aleksander Smolar, a dziennikarze rozmawiając z nim, musieli upewniać się, czy mówią z niezależnym komentatorem sceny politycznej czy członkiem zarządu zapomnianej dziś partii Unia Wolności.

W obecnej Europie rola oficjalnych ekspertów zarezerwowana jest dla tych, którzy wspierają homogeniczne elity polityczne i dostarczają argumentów (albo pseudoargumentów) na rzecz ich trwania i podobno jedyne go możliwego – w innym wypadku grozi kataklizm – wytyczonego przez nie kierunku działania. Ci, którzy krytykują *status quo* i wskazują na jego mankamenty oraz zagrożenia, stygmatyzowani są jako populiści i demagodzy. Kiedy wszystko zaczyna się walić, to oni okazują się winni, a nie eksperci, bo gdyby głupie masy ich słuchały, to stan obecnej doskonałości trwałby po kres dni, tak samo jak rządy przeznaczonych do tego elit.

Jedynę czego winniśmy się bać, jak wywodzi Sienkiewicz, to odsunięcie obecnych elit od władzy, a więc lękać winniśmy się tych, którzy do tego dążą, czyli populistów. Żadni imigranci w dowolnych ilościach nie są problemem.

Należy zgodzić się z Sienkiewiczem, ekspertem i członkiem tychże elit, iż: „to wszystko podszyte [jest] strachem przed utratą dochodów i dotychczasowej pozycji społecznej”. A taki strach powoduje rzeczywiście „dzikie kłamstwa i szalone recepty”.

(„w Sieci”, 27/2016)

Wolność niemożliwa, czyli *Kochanek...* po latach

Chodzi o *Kochanka Wielkiej Niedźwiedzicy*, debiut powieściowy Sergiusza Piaseckiego, którego wydanie w 1937 roku trafiło na czołowe miejsce bestsellerów i spowodowało przedterminowe wypuszczenia autora z więzienia (znalazł się tam za napad z bronią w ręku). Książka nie tylko się nie zestarzała, co jest cechą typową literatury popularnej, ale z perspektywy czasu lepiej odsłania swój uniwersalny wymiar.

W momencie ukazania się traktowana była jako nieco tylko zawołany pamiętnik z przemysłniczej kariery autora – akcentował to on sam – i rodzaj reportażu z polsko-sowieckiego pogranicza pierwszej połowy lat dwudziestych. Uważniejszy czytelnik dość szybko orientuje się jednak, że mamy do czynienia z literaturą kreującą mit. To opowieść o ucieczce przed cywilizacją w poszukiwaniu absolutnej wolności. I o samounicestwieniu tego przedsięwzięcia.

Narratora Władka poznajemy w momencie inicjacji. Uczy się sztuki przemysłniczej, uzyskuje orientację w nowym dla niego świecie i nabiera niezbędnej do przeżycia psychofizycznej krzepy. Pierwsza część kończy się schwytaniem go i uwięzieniem przez sowiecką policję.

Część drugą rozpoczyna brawurowa ucieczka z zsyłki i powrót do Polski. Od teraz Władek staje się członkiem elity przemysłniczej, a symbolem jego szczególnej pozycji jest broń, z którą nie przestaje się rozstawać i używa jej coraz częściej. Broń powoduje, że na przemysłnicze wyprawy może chodzić już wyłącznie ze szczególnym rodzajem desperatów, „dzikimi”. Wreszcie awansuje do ekskluzywnej ekipy „króla granicy”. Finałem tej części jest kolejna ucieczka narratora tym razem z polskiego aresztu, gdzie trafi za postrzelenie przeciwnika. Wcześniej ginie dwóch jego towarzyszy.

Teraz również na terenie Polski narrator musi się ukrywać. Właściwie nie uprawia już tradycyjnego przemytu: przeprowadza przez

granicę uciekinierów ze wschodu, a po śmieci swojego współnika zabitego w bójce z „powstańcami”, nowym pokoleniem przemytników, zajmuje się rabunkiem ich towaru i pieniędzy. Trzyosobowa banda kruszy się. Jeden ginie, kolejny popada w obłęd. Czas jakiś Władek samotnie terroryzuje pogranicze, zanim zdecyduje się je opuścić.

Życie przemytników to przeciwstawiona zepsutemu światu cywilizacji egzystencja w stanie natury. Władek odkrywa jednak, że takie same reguły rządzą w centrum cywilizacji, jakie stanowi duże miasto. W nim jednak przepuszczone zostały przez filtr sztuczności i, przede wszystkim, zakłamane. Gdyż w świecie Władka najbardziej liczy się autentyzm, jedność świadomości z warunkami bytowania.

Natura nie jest arkadyjska. To raczej Hobbesowski stan nieustannej walki, w której powinni wygrywać silniejsi. Stanowią odrębny gatunek drapieżników, rozpoznają się i żywią pogardę dla frajerów. Ich cnotą jest wzajemna lojalność, bez której nie przetrwaliby. Władek w Wilnie odkrywa swoją rzucającą się w oczy „wilczą” odmienność. Ten wilczy trop podkreślany jest w powieści często.

Dla drapieżników „cywilizacyjne” cnoty roztropności, planowania, umiaru są nie tylko obce, ale i obrzydliwe. Żyją w cyklu: wyprawa połączona z krańcowym ryzykiem, a potem hulanka. Pieniądże zdobywa się, aby je roztrwonić, a kto robi to na większą skalę, zyskuje większe uznanie. Ważne jest ekstatyczne przeżycie i natychmiastowe spełnienie (rejestr jest mizerny: wódka, łatwe kobiety, hazard). Ta w rzeczywistości dość żałosna egzystencja opromieniona jest jednak pięknem przyrody, do której należą przemytnicy, oraz fascynacją granicą, która jest zarówno konkretem, jak i symbolem. Jej przekraczanie to łamanie zewnętrznych norm oraz ekstatyczne przeżycie, które jest efektem krańcowego ryzyka. Ten stan daje poczucie bezgranicznej wolności.

Dlatego dla Władka miłością pozostanie Wielka Niedźwiedzica, która symbolizuje jego autentyczny dom, czyli naturę, i każe mu odrzucić związek z fascynującą go, ale wymagającą trwałych zobowiązań kobietą.

Tylko że takie życie i taka wolność nie są możliwe. Granica strzeżona jest coraz lepiej. Arystokracja przemytnicza ginie, a na jej miejsce wpychają się chcący szybko zarobić „powstańcy”, którym nijak do przemytniczego etosu. Narracja, której pierwsza część brzmi nieomal

jak powieść obyczajowa, odrealnia się, staje się wizją na granicy coraz bardziej ponurego snu. Bohaterowie polują na „powstańców”, ale sami stają się ofiarami łowów, zamykających ich w coraz ciasniejszym kręgu, z którego wyjściem pozostaje śmierć, obłąd, albo rezygnacja.

Kochanek... jest młodzieńczym snem o bezgranicznej wolności i jej nierealności. Czy Piasecki zdawał sobie z tego sprawę, czy niósł go tylko spontaniczny talent? Nieświadomość jego narratora czasami wygląda jak ironiczny zabieg. Gdyby powieść napisał Vladimir Nabokov zachwycilibyśmy się perfidią tej kreacji.

(„*Uważam Rze Historia*”, 1/2012)

Otwartość

Od jakiegoś czasu słyszymy ciągle o europejskich wartościach. Kiedy przychodzi do ich definiowania, elity Unii Europejskiej najczęściej wymieniają tolerancję i otwartość. O tej pierwszej pisał wyczerpująco w swoich książkach i artykułach Ryszard Legutko. Pokazywał jak pewna nieoczywista postawa – znaczy ona przecież zgodę na głoszenie idei, które uznajemy za niesłuszne, a nawet szkodliwe – doprowadzona została do formuły paradoksalnego dogmatu, który każe nam afirmować to, z czym się nie zgadzamy. Spowodowało to nie tylko rozchwianie porządku wartości, ale odwrócenia go i stało się narzędziem nowej, niesłychanie nietolerancyjnej ideologii.

W swoim felietonie chciałbym zająć się tą drugą, nie ideą przecież, a eksponowaną dziś na sztandarach unijnych postawą. Na pierwszy rzut oka trudno otwartość kwestionować. Nie należy na wstępie odrzucać cudzych opinii, a próbować je zrozumieć. Jeśli je krytykujemy, powinniśmy stosować wobec nich te same miary, z jakimi chcielibyśmy, aby podchodzono do naszych. Musimy przyjmować możliwość popełnienia błędu i zderzając się z innymi poglądami, najlepiej jest traktować je jako test na prawdziwość naszych. Jeśli nawet nie akceptujemy cudzych przekonań i zachowania, dobrze jest dokonać wysiłku postawienia się w pozycji tego, kto je reprezentuje, co pozwala głębiej pojąć osoby, z którymi się konfrontujemy.

Nie można jednak zaakceptować otwartości czy tolerancji bezgranicznej, gdyż stałyby się one skłonnościami samobójczymi i prowadziły do samozaprzeczenia. Ich reprezentanci musieliby ulec rzecznikom odwrotnego nastawienia, którzy gardzą tolerancją i otwartością.

Wyliczając niektóre pozytywne charakterystyki otwartości, widzimy od razu, że muszą wypływać one z głębszych założeń: uznania prawdy, która każe poddawać kolejnym próbom nasze mniemania oraz szacunku dla osoby ludzkiej. Podobne są fundamenty tolerancji. Gdybym nie traktował

prawdy jako jednego z najwyższych dóbr, nie miałbym powodu rozważać cudzych racji, które podważają moje opinie, jeśli nie uznawałbym osoby ludzkiej za wartość podstawową, nic nie skłaniałoby mnie do i zawieszania swoich utartych przyzwyczajeń i trudu zrozumienia cudzych.

Nie sposób wyobrazić sobie absolutnej otwartości czy tolerancji, gdyż znaczyłyby to po prostu pustkę, brak jakichkolwiek myśli i reguł, czyli (faktycznie niemożliwe) istnienie bez jakichkolwiek właściwości. Innymi słowy, tak otwartość, jak i tolerancja muszą być ufundowane na głębszym porządku wartości, który stanowi ich ramy i ograniczenie. Wymienianie obu jako cnoty elementarne jest nieporozumieniem. Co więc powoduje, że prezentowanie są one w taki sposób przez europejskich mandarynów? Dlaczego nie odwołują się oni do bardziej podstawowych norm kultury, które czynią możliwymi tolerancję i otwartość?

Wskazuje to niedwuznacznie, że żywią oni rezerwę, jeśli nie niechęć, do naszej cywilizacji, a tolerancję i otwartość jako specyficzne i paradoksalne nastawienia traktują jako narzędzie do podważenia jej fundamentów.

Twórcy projektu europejskiej konstytucji, odrzuconej w referendum we Francji i Holandii, odmówili wpisania w jej – wyliczającą źródła tożsamości europejskiej – preambułę, tradycji chrześcijańskiej, czyli półtora tysiąca lat, które najmocniej ukształtowały oblicze naszego kontynentu. We wspomnianym dokumencie po antyku następowało od razu Oświecenie. Autorzy konstytucji chcieli więc przeformułować naszą kulturę. Kiedy dziś te same środowiska pod hasłem tolerancji i otwartości domagają się otwarcia Europy dla muzułmańskiej migracji, wyraźnie liczą na zmianę jej tożsamości. Nie prezentują ani cienia tak eksponowanych przez siebie postaw, kiedy odsądzają od czci i wiary wszystkich, którzy odważają się wystąpić z innym zdaniem. Nie prowadzą z nimi debaty, a jedynie stygmatyzują ich i potępiają. Demograficzno-cywilizacyjny eksperyment proponowany dziś przez europejskich inżynierów dusz ma być emanacją unijnej moralności a ci, którzy przeciw niemu protestują powodowani mają być wyłącznie niecznymi motywami i bezdyskusyjnie winni być uznani za ograniczonych i nietolerancyjnych. W ten sposób dowiadujemy się, do czego może służyć tolerancja i otwartość.

Moralny terroryzm

W awanturze, która toczy się obecnie w Polsce na temat muzułmańskich uchodźców, w całej rozciągłości zobaczyć można typowy dla lewicy zabieg szantażu moralnego, przekształcający się w strategię intelektualnego terroryzmu. Wskazujesz niebezpieczeństwa związane z masową imigracją muzułmańską – jesteś nieczuły na krzywdę; analizujesz problemy, jakie rodzą się w wypadku zderzenia dwóch odmiennych porządków cywilizacyjnych – jesteś szowinistą, a nawet rasistą; dowodzisz nieprzystawalności szariatu do europejskich norm prawnych – jesteś islamofobem i tak dalej.

Strategia ta wyrasta z fundamentów lewicowego myślenia, które ma utopijny charakter. Świat ludzki jest ułomny, pełen krzywdy i cierpienia. Ojcowie lewicy uznali więc, że należy wymyśleć taki jego wariant, aby wykluczyć z niego zło. Niemożliwe? Jak to?! Przecież człowiek ma zastąpić Boga, a więc może wszystko! Jak pisał młody Marks w *Tezach o Feuerbachu*: „Filozofowie tylko rozmaicie interpretowali świat, chodzi o to, aby go zmienić”.

Jak widzimy imperatyw zmiany wyprzedza w tym wypadku próbę zrozumienia. Myślenie podporządkowane zostaje nakazowi moralnemu. Tylko czy takie zniewolone myślenie jest jeszcze myśleniem, a imperatyw jest rzeczywiście moralny? Czy można moralność oderwać od rozpoznania rzeczywistości? Prowadzi to do paradoksalnych konsekwencji. Wszystkie (powtarzam: wszystkie!) utopijne próby uprządkowania ludzkich problemów, czyli zbudowania raj na ziemi prowadziły do jego zaprzeczenia i spotęgowania zła. Miały one zresztą również resentymentalny charakter. Jeśli świat nie jest w stanie sprostać moim oczekiwaniom moralnym, to niech go szlag trafi – sugerują, a czasami mówią wprost „pięknoduchy”.

Syntetycznie ujął to Fiodor Dostojewski, być może najbardziej przenikliwy badacz rozgorączkowanego wcielenia nowego człowieka, który

chce zastąpić Boga. Iwan Karamazow jest maksymalistą etycznym, nie godzi się na przerażające cierpienie dziecka, o którym czyta w gazecie. Zwraca Bogu bilet do takiego świata. Zachowuje się jak Marks, który woła, aby stworzyć świat bez cierpienia. Konsekwencją maksymalizmu etycznego Iwana Karamazowa jest sprowokowanie przez niego zabójstwa ojca i spotęgowanie zła, które chciał wykorzenić. Efektem działań Marksa jest przerażający system totalitarny i hekatomba dziesiątków milionów ludzi.

A przecież ów prostacki utopizm nie tylko pokutuje, ale ma się dobrze także dziś. Co więcej, zainfekował myślenie powszechne, zgodnie z którym lewica „walczy z krzywdą człowieka”. Gdyby tak było, oznaczałoby to, że każdy nieco wrażliwszy człowiek powinien być lewicowy. W rzeczywistości różnica między politycznymi orientacjami nie polega na tym, że jedni zabiegają o dobro, a inni nie – gdyż polityka to właśnie zabieganie o dobro wspólne – ale na tym, jak to robią i czy są w stanie zrealizować swoje cele.

Terroryzm moralny uniemożliwia analizowanie, a więc i rozpoznanie rzeczywistości. Infantylna, dominująca dziś w Europie ideologia spowodowała, że rzesze młodych ludzi uznają, że wystarczy powodować się pozytywnym impulsem, to znaczy otworzyć na innych i potępić tych, którzy tego nie robią, aby wreszcie nasz kontynent stał się królestwem człowieka. Innymi słowy: gdyby islamistów nie prowokować, żyliby z chrześcijanami w doskonałej harmonii. Egzaltując się swoją dobrocią pięknoduchy owe odmawiają analizy zarówno obecnej sytuacji, jak i historycznych doświadczeń. Wymachując kolorowymi balonikami podśpiewują najgłupszą piosenkę w historii ludzkości, czyli *Imagine* Johna Lennona.

Ale owa naiwna twarz wrażliwej młodzieży ma swój rewers. To nienawiść i odraza wobec tych, którzy nie chcą zaakceptować infantylnych miraży i próbują dostosować działania do realiów, czyli uprawiać politykę. Dla tych nie ma nie tylko wyrozumiałości, ale i próby zrozumienia. To są ci źli, z którymi należy walczyć, gdyż okazuje się, że nawet utopiści muszą mieć swój biegun zła.

Niepoprawny autyzm

James Damore ma 28 lat. Był inżynierem na wysokim stanowisku w Google. Został zwolniony za rozesłanie w firmie notatki na temat wewnętrznej cenzury, która jest efektem dominującej ideologii. Jako przykład podał politykę gender. Napisał, że mężczyźni i kobiety „przebieśnie” mają inne cechy psychologiczne, które mogą tłumaczyć, dlaczego mniej kobiet pracuje w inżynierii, a czołowe stanowiska w Google zajmują raczej mężczyźni.

Kobiety, domniemywał Damore, są z reguły bardziej zainteresowane „ludźmi niż przedmiotami” i mają w sobie „większą otwartość na sferę uczuć oraz estetyki”. Obie te cechy, jego zdaniem, mogłyby wyjaśniać, dlaczego wybierają one raczej prace „w dziedzinach społecznych i artystycznych” niż na przykład w kodowaniu. Według Damore’a kobiety są bardziej przyjazne i mniej stanowcze od mężczyzn. Nigdzie nie napisał, że mężczyźni są lepsi w programowaniu.

Jego list wywołał szok w przedsiębiorstwie. „Kosztowało mnie to dwa dni gniewu i utraty produktywności, a przecież nawet nie byłem celem tych ataków”, oświadczył jeden z menadżerów, deklarując, że już nigdy więcej nie będzie współpracować z Damorem. „Zamierzam uciszyć te poglądy. Są brutalnie obraźliwe” – ogłosił inny. „Jesteś mizoginem i okropnym człowiekiem. Będę cię prześladować, aż ktoś z nas stąd wyleci. Pieprz się” – to kolejny komentarz skierowany bezpośrednio do Damore’a.

Ta ideologiczna histeria przypominająca nagonki na odszczepieńców w czasach panującego komunizmu, towarzyszyła usunięciu młodego inżyniera z pracy. Równocześnie jednak ujawniło się źródło jego nieprawomyślności. Został u niego zdiagnozowany „wysoko funkcyjny autyzm”. Ma to być przypadek, na którą cierpi blisko 2 proc. młodych mieszkańców USA. Dyskusja w Krzemowej Dolinie skoncentrowała się więc na tym, jak traktować chorych, którzy nie akceptują dominującej ideologii, gdyż jedynie niepełnosprawność może tłumaczyć takie zachowanie.

Okazuje się, że Damore nie jest jedyny, gdyż w ubiegłym roku wyrzuceno z Google'a innego inżyniera, który „zakwestionował używanie zaimków niebinarnych i w otwarty sposób zaprzeczył, jakoby płeć była pewnym kontinuum”. Czyli chciał posługiwać się zaimkami zgodnie z gramatycznymi regułami i uznawał dwie płcie, a nie ich nieskończoną stopniowalność. No i... tak zgadli państwo, ujawniło się, że ów inżynier cierpi na autyzm.

Ważna psychiatra cytowana przez „Guardiana” twierdzi, że z firm technologicznych zwolniono już wielu inżynierów z powodu autyzmu. „Dyskusje na tematy ogólne, do jakich zachęca Google, mogą nastroczać pracownikom z autystycznego spektrum poważnych trudności” – zauważa. Innymi słowy, tylko autyści są w stanie zakwestionować dogmaty dominującej ideologii. I, jak widać, zapłacić za to. Gdyż, jak zgodnie głoszą szefowie korporacji, niemieszczące się w doktrynie poglądy są naruszeniem norm współżycia, a więc automatycznie prowadzić powinny do usunięcia z pracy.

W Krzemowej Dolinie w miękkim sposób udało osiągnąć to, o czym marzyło Biuro Polityczne Komunistycznej Partii Związku Sowieckiego i co usiłowało realizować topornymi metodami. Nadzorcy Kraju Rad uzgodnili, że „dysydentów” należy uznawać za chorych psychicznie, a w konsekwencji zamykać ich w psychuszkach i kurować odpowiednimi dawkami chemii oraz wstrząsów elektrycznych. Na Zachodzie te brutalne metody nie są potrzebne. „Bezobjawową schizofrenię” zastąpił autyzm, a zamiast izolowanego zakładu wystarczy ostracyzm społeczny.

Z wypowiedzi Damore'a wynika, że stopniowo przyjmuje on do świadomości, że źródłem jego niewłaściwych opinii jest jego schorzenie. A to otwiera drogę do „wyleczenia”. Kiedy będziemy już to wiedzieli i nauczymy się, że niepoprawnych myśli nie wolno ujawniać, stopniowo same będą obumierać.

W filmie Woody Allena porządnej lewicowej (liberalnej) rodzinie utrapienia przysparzał krewny, który popierał republikanów. Okazało się, że przyczyną był tumor mózgowy, po usunięciu którego był on już jak wszyscy dookoła.

Ten pozornie niewinny żart stał się zaleceniem. I nie trzeba nawet niczego wycinać. Być może nawet humanitarne środowiska Krzemowej

Doliny udostępniać będą pomieszczenia dla osób autystycznych, gdzie szczerze izolowani będą mogli mówić, co chcą. No, nie. Taki eksperyment mógłby być niebezpieczny.

(„Sieci”, 1/2018)